

Zdzisław Broncel

Nie śpiewałam, żeby żyć — Żyłam, żeby śpiewać

Rozmowa z dyr. J. Korolewicz-Waydową
w dzień jubileuszu 35-letniej pracy artystycznej

Po tournée po całej Europie, Ameryce, po Australii — gabinet z niskimi oknami, wyglądającymi na plac Teatralny. Plac Teatralny — centrum Warszawy, centrum powojenne i przedwojenne, prawie nie zmieniająca się perspektywa ratusza, perspektywa kołunady Teatru Wielkiego. Zamiat dawnych powozów, zgiełk aut i harcące klaksony autobusów. Na wieży ratuszowej o dwunastej w południe strażnik gra teraz krótki sygnał. Hejnał.

Już wiosna. Uchylimy okna. Drżący, polotny dźwięk trąbki wydzwonił dwunastą godzinę. Przed filarami Teatru Wielkiego przechodzą ludzie w jesiennych płaszcach. U pań pojawiły się ko-



J. Korolewicz-Waydowa w czasie występów w Ameryce.

atymy. Czasem zacznie mżyć deszcz, ale przecież wiosna. Przed wywieszoną na murze gablotą z fotografiami zatrzymała się spora grupa. Młodzi i starzy. Młodzi patrzą trochę z niedowierzaniem, z ciekawością, starzy — z rozczuleniem. Waydowa... Tak, tak, wielka śpiewaczka... Szaleli za nią... Pamiętacie? Studenci, młodzież, ach, przepadali za Korolewiczową! Co to były za brawa! Co za triumfy! Ile kwiatów! Była jak królowa! Kochano się w niej tuzinami! Ale bo też śpiewała... Pan ją słyszał?... Słyszałem, pięknie, piękny głos, światłowa śława. Zaraz, zaraz, w jakiej to roli? Taka młodzica? Micaela z „Carmen”, oo! jaka „Halka”!

Korolewicz-Waydowa przylotowała lornetą do oczu i zrobiła taki ruch, jakby chciała wychylić się przez zamknięte okno.

— Trochę niedobrze widzę. Zdaje się, że sporo ludzi.

Powoli obróciła się twarzą w stronę mrocznego pokoju, zagrzebała ręce przy elektrycznym piecyku — odeszła od okna i usiadła za wielkim biurkiem. W lśnieniu politurze biurka odbijają się ufrzowane miedziane włosy, kontrastujące z czarną suknią. Ręce błądzą w rozrzuconych papierach, szukają w fotografiach, trafiają na młodzieńską „Martę” Flotowa, na dziewczęcą Micaelę z „Carmen”. — Proszę popatrzeć, to mój debiut — i na pełną kobiecość dojrzałości „Aidę” i na uroczą fotografię z czasów pobytu w Ameryce.

— A tu, proszę spojrzeć, reprodukcja korespondencji z „Wędrowcu”, przysłanej z Australii. Śpiewałam wtedy z Melbą, z Cisneros. Długo? Rok byłam w Australii. Cały wielki sezon. Zrobiłam wtedy skok — śmiech i szukanie spojrzaniem w oczach rozmawiających oddźwięku tego śmiechu — skok z Ameryki. Boże Narodzenie spędzałam na Oceanie Indyjskim, choinkę zastępowała nam araukaria. Ach, jakież wtedy był upał, tropikalne gorąco zupełnie zabijające myśl, że to wigilia i święta. Z Australii wróciłam do Ameryki. Śpiewałam i znów do Europy. Stolicę europejskie i tournée po Rosji. Miałam w repertuarze 80 partii, a przecież światową karierę zrobić można z 10, 12 partiami. Śpiewałam w operze zawsze w języku jej twórcy, śpiewałam w największych operach świata, w Nowym

Jorku, w Covent Garden w Londynie, przed koronowaniem głowami, przed Mikołajem, szachem perskim, przed ks. Walji i królem Anglii. To był, to było... — Ojciec obecnego? — Tak, Edward VII; dalej — przed królem Portugalii... — I? — I, wiem dobrze, że wiecznych rzeczy niema w dziedzinie głosu. Skończyłam wcześniej swoją karierę. Sama ją przerwałam, świadomie; jeżeli miałam zostać po sobie wielkie wspomnienie, musiałam odejść w pełni sławy. Odeszłam naprawdę! Nigdy nie myślę o tem, co było, słucham młodych i nigdy mi nie przejdzie przez głowę, jak jaby to zaśpiewała. Jak patrzę sama na siebie — szerokim gestem Waydowa wskazała porozkładane, porostawiane na krzesłach i pod ścianami portrety — nieraz sama się nie poznaje. Nie chcę wierzyć, że to jestem ja.

Portrety uśmiechnięte, zalotne, spoglądające wyrazistymi oczyma patrzą na twarz Waydowej. Doprawdy nas nie poznajesz? Czy istotnie nie wiesz, że ta pani z nęczeniem kwiatów — to ty! że ta Goplana — to ty w pierwszej młodości? Nie poznajesz siebie — Małgorzaty? Nie pamiętasz jej arji z klejnotami i nie pamiętasz swoich klejnotów, które błyszczały, odjeżdżając świetnym powozem sprzed opery w Monte Carlo?

— Nie, nie wierzę, tak samo, jak nie wierzyłam, że kiedyś mogę nie śpiewać. Byłam taka zdrowa, silna, powodzenie otwierało przedemną cały świat i nie mogłam znieść dwóch myśli — że może minąć młodość i że można umrzeć. Co do pierwszej rzeczy przekonałam się... jednak prawdziwa... ale młodość nie dopuszczam do siebie. Przecież my wszyscy myślimy, że każdy może umrzeć, ale nie — my? Nie lubię wszystkiego co ma w sobie coś ze śmierci — przerzuciła kilka zdjęć, w milczeniu przyjrzała się im przez chwilę i wstrząsnęła ramionami. — Ochronie nie lubię zimny, niecierpliwy ciemności. Kocham słońce, kwiaty, wiosnę, dzieci i życie, a nie noc i śmierć. W lecie wstawiałam się rano, gdy zobaczy wschód ze swego okna. Pracuję od rana do nocy, gdy dzień gaśnie i ja gaśnie.

Teraz dyr. Waydowa spogląda nam ostro w oczy i powiedziała szepem: bo ja mam takie młode wnętrze. Czuję w sobie młodość nie do zniszczenia. Odradzałam się w pracy, odradzałam się w tych młodych siłach mojej Opery, jak rodzice w dzieciach.

— Nie, nie, proszę nie myśleć, że życie primadonny jest cudowne. Trzeba umieć odpowiadać temu stanowisku. W gardle nosić żywy instrument i być niewolnikiem własnego głosu. Tego nie wolno, tamtego nie wolno. Dziś — śpiewak występuje wieczorem, a w dzień pali, albo jedzie zadytmionym tramwajem. Śpiewa się, żeby żyć — wówczas żyło się, żeby śpiewać. Śpiew był w operze, na konspiracyjnych koncertach, przy zamkniętych okiennicach i dwóch świecach palących się na fortepianie, śpiewałam w czasie wojny w szpitalach, po wojskowych świetlicach. Naprawdę — żyłam, żeby śpiewać.

— Dziś? Dziś — wstała z fo-

telu — żyję, żeby cieszyć się światem. Zespół opery — to setki pracowników. Mam swój świat pod tym dachem. Chodźmy!

Na scenie opery burza. Grzmoty, błyskawice, siekający deszcz. Płonie okręt. W zawirusze i zgiełku przedziera się baryton Czaplickiego, sopran Borerowej.

Dyrektorka Waydowa stanęła w drzwiach widowni.

— Na jubileusz debiutuje moja uczennica. To jest legitymacja i mojej młodości.

Zatrzasnęły się drzwi. Ciemność. Z ciemności bucha czerwien pożaru i czerwieni palącej muzyki orkiestry. Próba generalna „Afrykanki”.

Zgon Emila Młynarskiego b. długoletniego dyrektora Opery

Wczoraj popołudniu zmarł znakomity kapelmistrz, b. dyrektor Opery Warszawskiej, laureat nagrody muzycznej m. Warszawy, ś. p. Emil Młynarski.

Emil Młynarski urodził się dnia 18 lipca 1870 r. w Kibartach, dawniej gub. suwalskiej. Po studiach w konserwatorium w Petersburgu koncertuje zagranicą, następnie w latach 1893 — 1897 pracuje w konserwatorium w Odessie, wychowując takich uczniów, jak Paweł Kochański. W r. 1897 debiutuje w Operze Warszawskiej, jako kapelmistrz, a później przejmując od innych kapelmistrzów większość opor polskich oraz wprowadza do repertuaru dalsze opery polskie, przedewszystkiem Moniuszki.

W r. 1898 organizuje pierwsze w Warszawie regularne koncerty symfoniczne, a w r. 1901 jest jednym z inicjatorów, Filharmonii Warszawskiej, której zostaje pierwszym dyrektorem artystycznym i stałym dyrygentem.

Działalność Emila Młynarskiego w

Warszawie trwa nieprzerwanie do r. 1908 na trzech ważnych placówkach muzyki polskiej: w Operze, w Filharmonii i w Konserwatorium. W r. 1908 przenosi się na stałe na Litwę i poświęca się pracy kompozytorskiej, wyjeżdżając równocześnie zagranicę, gdzie dyryguje wielkimi koncertami symfonicznymi.

Po wojnie, w r. 1919, obejmuje dyrekturę Opery miejskiej w Warszawie i pozostaje na tem stanowisku do r. 1929. W roku tym opuszcza Warszawę i udaje się do Stanów Zjednoczonych, gdzie obejmuje stanowisko dyrektora artystycznego Opery w Filadelfii, oraz prowadzi pracę pedagogiczną w najwybitniejszych amerykańskich instytucjach muzycznych. W r. 1931 ciężka choroba przerywa działalność E. Młynarskiego w Ameryce.

Po powrocie do Warszawy w r. 1931 rzadko już występuje publicznie, do ostatnich jednak niemal chwil bierze żywy udział w życiu artystycznym, służąc radą i wskazówką rzeszy młodych muzyków.

Oszustwo czy epokowy wynalazek? Alchemja Dunikowskiego — na cenzurowanem

Dzięki staraniom obrońcy Dunikowskiego, adwokata Legrand, znanego w Paryżu specjalisty od spraw sensacyjnych, w prasie francuskiej ukazują się to tu, to ówdzie wzmianki o szlacheckiej fabrykacji złota wynalezionej przez Dunikowskiego. Kiedy wreszcie p. Legrand ogłosił, że Dunikowski przyjmuje zamówienia na złoto po cenie 50 centymów za karat, co w tłumaczeniu z żargonu jubilerskiego na język zwykły oznacza 12 franków za gram czystego złota, podczas gdy cena oficjalna wynosi ponad 17 franków, — wtedy wielki dziennik paryski le „Journal” postanowił zbadać sprawę na miejscu.

Współpracownik tego pisma p. A. Sudre wykwalifikowany chemik, po przeprowadzeniu pertraktacji, zaopatrzony w potrzebne narzędzia, tygle i odczyniki chemiczne, oraz w próbki piasku jałowego i złotodajnego z Afryki udał się do San Remo, gdzie przebywa Dunikowski. Jechał tam bez uprzedzeń, dziwiło go tylko, dlaczego Dunikowski posiadał sekret tak cennego odkrycia poszukujące współpracowników, z którymi potem popadł w zatargi prawne i dostaje się do więzienia, skazany jako oszust. Przecież znacznie prostsze było rozpocząć fabrykację własnymi siłami, chociażby na drobna skalę, stopniowo ją w miarę zysków rozszerzać i dojść w krótkim czasie do fortun, zamiast tracić lata „na zbutwiały słomie więziennej”. No, ale o gustach jak wiadomo dyskutować nie można.

W San Remo p. Sudre zastał Dunikowskiego w ładnym słownym mieszkanku, nieco przyćmionym, jak na rodzinę z czworgiem dzieci. Jako laboratorium służyła mała kuchnia. Sam Dunikowski zrobił korzystne wrażenie, aczkolwiek bystry Francuz zauważył odrazu, że jest to człowiek „umiejący opowiadać historie”. Natomiast owa słynna „maszyna” wywiera na specjalistę obeznane go z aparatami naukowymi i maszynami wrażenie raczej komiczne. Kilka cewek jakby wyjętych z dzwonka elektrycznego, parę za-

rówek, słynna owa rurka z tajemniczym protonem, woltomierz, amperomierz, kontakt do sieci elektrycznej i to wszystko.

Przystąpiono do doświadczeń. P. Sudre naświetla w tej maszynie swoje próbki piasku, przy czym widzi, że amperomierz, po włączeniu prądu, pozostaje na zerze. Widocznie więc zużycie prądu jest minimalne, co jest w oczywistej sprzeczności z próbami przemiany pierwiastków dokonywanymi w laboratoriach nauko-

wych, wymagającymi jak wiadomo potężnych prądów o setkach tysięcy wolt napięcia. Warunki pracy w owej kuchence są okropne, gdyż nie można się opędzić od tłumu gości, przedewszystkiem Amerykanów śpieszących gromadnie na widowisko fabrykacji złota. P. Sudre zdaje sobie natychmiast sprawę, że ta jego próba jest bez wartości, gdyż w tej ciasnocie niepodobna było dopilnować, aby do stygnących tyglików z wyżarzonym po naświetlaniu piaskiem nikł się nie zbliżył. Mimo to jednak doprowadził eksperyment do końca i analiza piasku stwierdziła w jednej próbce nieznaczne, w drugiej zaś dziesięciokrotne zwiększenie zawartości złota. Próbkę jałową pozostały nadal bez zmiany.

P. Sudre postanawia przeprowadzić drugą próbę, tym razem już u siebie, w lepszych warunkach pracy. Niespodziewanie jednak napotyka na opór Dunikowskiego, który najpierw mówi o zepsuciu się maszyny, a następnie jako powód odmowy podaje, że właśnie zawarł umowę z pewnym Amerykaninem, który mu wystawił odrazu czek na milion dolarów i zaangażował go do powiększenia zawartości złota w jego kopalniach, na wyspach Filipińskich. Ten oszalały sukces Dunikowskiego zdziwił nieco sceptycznego Francuza i narazie eksperymenty przerwał. Niebawem jednak, przy pośrednictwie adwokata Legrand, doszło znów do jednej jeszcze próby, której rezultaty były sporne, a częściowo sprzeczne z poprzednimi. W pewnych próbach zawartość złota się nie powiększyła, w innych wzrosła, a w uprzednio przygotowanej mieszaninie różnych próbek pozostała bez zmiany. Uderzyło przeto p. Sudre że złoto wydobyte po naświetlaniu nie jest czystym złotem, lecz aliażem złota srebrnym, takim jakiego używają jubilerzy.

„Zapewne, mówi p. Sudre, zwolennicy nowego wynalazku mogą powiedzieć, że promienie z promieniąjącego złota, ale i srebra. Ale z równą pewnością można też twierdzić, że owe cenne metale powstają w czasie naświetlania nietylko w piasku, ale może wpadają doń z — nieba”. Tak deszcz zapładniający jest tembardziej możliwy, że przy — z konieczności małych rozmiarach próbek — chodzi tu o miligramy, a więc o drobne pyłki złota.

Jakież jest więc rezultat doświadczeń p. Sudre? Uważa on go za niedecydujący i wyraża przekonanie, że wobec niezmiernie drobnych ilości szlachetnego metalu wchodzących w grę, niemożliwe może być tylko stwierdzenie pozytywnego lub negatywnego rezultatu w laboratorium zaopatrzonym we wszystkie najnowsze urządzenia i przy ścisłej naukowej kontroli. Oczywiście warunkom tym ani zatłoczona kuchnia w San Remo, ani kuchnia hotelowa, w której odbyła się druga próba nie odpowiadają.

Wśród dzieł i artystów

Intendent opery hamburskiej na przedstawieniu „Halki” w Warszawie. Do Warszawy przyjeżdża generalny intendent opery hamburskiej, p. Strohm, ażeby być obecnym na przedstawieniu „Halki” w operze warszawskiej i nawiązać kontakt z polskimi sferami muzycznymi. P. Strohm przygotowuje wystawienie „Halki” w Hamburgu i zaangażował już Ladisa-Kiepurę, który będzie śpiewał partię Jontka.

Stypendyści literacy m. Poznania. Magistrat m. Poznania uchwalił przeznaczyć 2.600 zł. na wydanie wartościowych utworów poetyckich, 4.400 zł. na zakup dzieł sztuki do muzeów miejskich, 600 zł. na wydanie utworów muzycznych, a 2.400 zł. na stypendia dla pisarzy wielkopolskich. Stypendia te otrzymali: Stefan Balicki, Wanda Brzeska, Janusz Staudynier. Z sumy przeznaczanej na wydanie dzieł poetyckich będą wydane „Hymny” Jana Kasprzowicza.

Koncert Szymanowskiego w Berlinie. W Filharmonii berlińskiej odbył się koncert symfoniczny Karola Szymanowskiego, w którym kompozytor wykonał partię fortepianową w „IV symfonii”. Publiczność przyjmowała Szymanowskiego owacyjnie. Z Berlina Szymanowski wyjechał do Paryża, a stamtąd, do Rzymu, gdzie odbędzie się szereg jego koncertów.

Wydanie zbiorowe pism Mochackiego. Instytut wydawniczy „Bi-

blioteka Polska” zamierza przystąpić do zbiorowego krytycznego wydania pism Maurycego Mochnackiego. Projektant nad wydawnictwem obejmuje prawdopodobnie Polska Akademia Literatury.

Świąteczna sprzedaż dzieł sztuki. W salonie „Zachęty” przy ul. Królewskiej Nr. 17 rozpoczęto przedświąteczną sprzedaż dzieł sztuki po specjalnie niższych cenach.

Pieśni sowieckie o wojnie z Polaka. Nakładem rządu sowieckiego ukaże się zbiór 100 pieśni ludowych, wybranych z pomiędzy poręwulacyjnych pieśni 40 ludów i szczepów, zamieszkujących Rosję. Pieśni osnute są na tle wojny z Polską i wojny domowej.

Konkurs na studium o życiu i twórczości Wł. St. Reymonta. Dla uczczenia 10 rocznicy zgonu Wł. St. Reymonta ogłoszono konkurs na studium o życiu i twórczości znakomitego pisarza. Pierwsza nagroda wynosi 2.000 zł., druga 1.000 zł. Termin konkursu — 1 maj 1936 r. Sąd konkursowy będzie przewodniczył Ignacy Chrzanowski. Wszelkich informacji udziela dyrekcja Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie.

„Madame Sans Gêne” jako opera. Przed paru dniami w Amsterdamie wystawiono operę p. t. „Madame Sans Gêne”, której libretto osnute jest na tle popularnej sztuki teatralnej. Autorem opery jest Umberto Giordano.

Sensacyjny włoski wynalazek Elektryczne nogi Dla każdego szybkość 10 km. na godz.

Skonstruowany przez inż. Angelini „samochód szarego człowieka” jest niczem innym, jak udoskonalonymi wrotkami. Poruszane są one elektrycznością, które czerpią z maleńkiej baterji, umieszczonej między kółkami.

Wynalazek ten został już na drogach włoskich wypróbowany i okazał się bardzo praktyczny, gdyż zupełnie bez najmniejszego zmęczenia może na nim człowiek zrobić lekko do 10 kilometrów na godzinę. Wynalazca twierdzi, że jego „pojazd” będzie się kalkułował bardzo tanio, gdyż cena przy masowej produkcji wyniesie za ledwie około 40 lirów.

Baterje zapasowe są również niedrogie, używa się bowiem tych samych co do kieszonkowych lamp elektrycznych, nabywać je

można zaś w każdym niemal sklepie.

Nowym wynalazkiem zainteresowała się bardzo Ameryka. Przyjechało nawet specjalnie paru finansistów celem bliższego zapoznania się z samym wynalazcą oraz z jego aparatem. Finansisci amerykańscy roją wynalazkowi inż. Angelini wielką przyszłość. Zaproponowali oni inżynierowi krociowe sumy w dolarach za odstąpienie im patentu. Mają zamiar budować w Ameryce duże fabryki i opanować elektrycznymi wrotkami oba kontynenty.

Gdyby naprawdę nowy ten wynalazek wszedł w powszechne użytkowanie, jakże zmieniłby się wygląd dzisiejszej ulicy! Trzeba by wyznaczyć specjalne pasy na jezdnie dla biegnących na wrotkach.

Powleść sprzymierzona z muzyką W. Miłaszewska i St. Staniewicz urządzą wspólny koncert

Wanda Miłaszewska po raz drugi wystąpi na wieczorze autorskim, a że za pierwszym razem, kiedy w sali „Theatricalum” czytała fragmenty ze swej książki wspomnień „Dusza domu” przeżyła szaloną treść — jak nam opowiadała w krótkiej rozmowie — więc teraz, może dlatego, żeby ten ciężar rozłożyć na więcej barków, sprzymierzyła się z młodym, interesującym się zapowiadającym muzykiem, Stanisławem Staniewiczem, i razem — dziś wieczór postanawiają podbić publiczność sali Konserwatorium.

Ale ten podbój rozpocznie się dopiero o godzinie 8-ej. Do 8-ej wieczorem cała dzień obaw, niepokojów, oczekiwań.

— Bo proszę — martwi się autorka „Trzęsienie siostry” — robimy taki koncert po raz pierwszy. Pomyśleliśmy, że np. sam wieczór autorski jest zbyt nudny... Więc postanowiliśmy wzajemnie się wspierać. Pan

Staniewicz grać będzie Chopina, Schumanna, Schuberta, a ja będę czytała fragmenty wspomnień z muzyką, z Paderewskim, z moimi przeżyciami z dzieciństwa.

— Dlaczego romantycy? Wydaje mi się, że ta muzyka — odpowiada Staniewicz — najbliższa jest tego, co przenika wspomnieniami pani Miłaszewskiej. Zresztą, przeprowadziliśmy takie próby: prosiłem moją partnerkę (Miłaszewska śmieje się z tej urzędowej nazwy), żeby czytała mi swój rękopis. Próba była pomyślana jaknajbardziej serio: chciałem odpowiednio dobrać mój program. Cóż, kiedy zasłuchany, zapomniałem o celu próby. I dlatego zdecydowałem tak — zagram to, co tak samo zabiera mnie ze świata, jak te pełne czaru opowiadania. I stąd wybór romantyków.

— A ja — przyznaje się Miłaszewska — miałam orzec na próbie, czy dobrą energię tworzy program. I znowu, gdy Staniewicz zagrał etiudę rewolucyjną Chopina, nokturn C-moll, poloneza As-dur ginełam w tej muzyce. I tak porywałyśmy się wzajemnie. Szczęśliwa to wróżba dla naszego koncertu, bo widać i żywe słowo i muzyka chwytają na arkan poezji.

